



Z

przypadku

Albert Wojt

Albert Wojt

Z PRZYPADKU

Kryminał z myszką – Tom 34

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-03-4

Copyright © Wojciech Sadrakuła

Tekst: Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1983

Nakład pierwszego wydania: 100 000 + 350 egz.

I

– Wstawaj, syneczku! Już późno, a ty dzisiaj z samego rana miałeś być w dziekanacie. – Niewysoka, dość tęga kobieta w średnim wieku delikatnie głąskała po policzku chrapiącego w najlepsze, ciemnowłosego chłopaka. – Romuś, pośpiesz się. Zaraz po ojca przyjedzie samochód, podrzuci cię przy okazji na uniwersytet...

– Daj mi spokój! – odburknął naciągając kołdrę na głowę.

– Romek, wstawaj! – nie dawała za wygraną kobieta, potrząsając lekko syna za ramię. – Jeżeli nie załatwisz z dziekanem, będziesz musiał pożegnać się ze studiami.

– Gadanie! – Roman niechętnie otworzył oczy. – A zresztą ojciec może zadzwonić – dodał ziewając szeroko.

– Ojciec kategorycznie oświadczył, że już najwyższy czas, abyś sam zaczął się troszczyć o swoje sprawy – odparła gniewnie. – Możesz być pewny, że nigdzie nie zadzwoni. A co ja się wczoraj od ojca nasłuchiwałam na twój temat. – Ze smutkiem pokiwała głową. – Ma zresztą rację, mówiąc, że zamiast się uczyć, ciągle tylko latasz z Głowaczewskimi.

– Mamo...

– Śniadanie jest na stole – przerwała mu stanowczo. – Pośpiesz się, bo ojciec nie będzie na ciebie czekał...

Wyszła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Roman jeszcze przez chwilę leżał w łóżku, klnąc w duchu, że go obudzono. Szumiał mu w głowie wczorajszy rajd po warszawskich barach i miał raczej ochotę napić się czegoś kwaśnego, niż szykować się do czekającej go rozmowy z dziekanem. Był zły na matkę, że nie zdołała nakłonić ojca do zmiany decyzji. Jak do tej pory bardziej przejmowała się przecież studiami jedynaka niż on sam...

Ojciec znał dziekana jeszcze z konspiracji. Po wojnie ich kontakty jakoś się urwały, kiedy jednak Roman znalazł się w klasie maturalnej. Matka szybko doprowadziła do odświeżenia tej znajomości. Okazało się to tym łatwiejsze, że obaj panowie byli zapalonymi myśliwymi. W tej sytuacji wynik egzaminu wstępnego był pewny.

Roman przeciągnął się, wstał z łóżka i pobiegł do łazienki. Pod zimnym prysznicem resztki senności zniknęły gdzieś bez śladu. Poczuł się lekki i rześki.

Zgodnie z przewidywaniami matki ojciec nawet nie chciał słuchać, by poczekać na Romana. Kiedy tylko zajechał samochód, krzyknął, że ma jakąś ważną naradę, na której będą przedstawiciele ministerstwa, i bez pożegnania trzasnął drzwiami.

Roman w pośpiechu wyszukał czystą, białą koszulę, zawiązał krawat i przełknął kilka kanapek. Było już po godzinie ósmej, kiedy wybiegł z domu. Na szczęście nie czekał zbyt długo na autobus. Wskoczył do środka i zawahał się. O tej porze łatwo można się było natknąć na kontrolerów MZK, a zupełnie nie miał ochoty na wypatrywanie ich wśród pasażerów. Skasował bilet i stanął przy tylnym wyjściu.

Po drodze nie myślał o czekającej go rozmowie z dziekanem. Znacznie bardziej zajmowały go wspomnienia wczorajszego wieczoru. Prawdę mówiąc wcale nie planował, że spędzi go poza domem, ale nie mógł jakoś odmówić Wojtkowi Głowaczewskiemu... Później obaj prawili morały bratu Wojtka, Jackowi, obficie płucząc gardła piwem. Wreszcie, kiedy już trochę wypili, postanowili odwiedzić następny bar...

Roman nie pochwałał Jacka, chociaż było mu go żal. Bądź co bądź kumpel traktował Ankę zupełnie inaczej niż wszystkie swoje dotychczasowe znajome. Kupował dziewczynie kwiatki, nie kłął przy niej i ani chciał spojrzeć na inną. Owszem, tydzień temu na prywatce spił się, i to do tego stopnia, że nie rozumiał nawet, co się do niego mówi, a w dodatku oblał Ankę winem i wypalił jej papierosem dziurę w nowej sukience. Ale żeby z tego powodu rzucać chłopaka? Po jednorazowym wyskoku?

Dziewczyna zerwała z Jackiem zaraz po tym incydencie. Prawdę mówiąc, to chyba nigdy nie traktowała go zbyt poważnie. Na każdym kroku podkreślała, że ktoś, kto nie

skończył nawet technikum, nie jest odpowiednim partnerem dla studentki polonistyki. Szukała tylko pretekstu, by zmienić chłopaka...

Wojtek usiłował przekonać brata, żeby ten przestał myśleć o Ance. Wszystko wskazywało, że w końcu tak też się i stanie, kiedy właśnie wczoraj we trzech spotkali dziewczynę na placu Teatralnym. W Jacku ożyły świeże jeszcze uczucia i koniecznie chciał z nią porozmawiać. Usłyszał, że ma iść do diabła, że panna ma go w czterech literach... Zanim Roman lub Wojtek zdążyli wykrztusić choćby słowo, Anka oberwała dwa siarczyste policzki...

Autobus zatrzymał się i Roman wysiadł wraz z grupką młodych ludzi. Teraz musiał się zastanowić, co powiedzieć dziekanowi. Masa nieobecności na zajęciach, nie zaliczone ćwiczenia, parę dwój w indeksie... Stopnie w poprzednich semestrach też nie wyglądały rewelacyjnie, tak że trudno było przekonywać kogokolwiek o „przejsiowych kłopotach”. Co gorsza nie miał nawet zaświadczenia lekarskiego o przebyciu jakiejś poważniejszej choroby. Ze złością pomyślał, że jeden telefon ojca najprawdopodobniej rozwiązałby problem.

– O! Pan Wilewski! – sekretarka skrzywiła się niechętnie na widok chłopaka. – Pan dziekan jest u siebie. Proszę! – z ironicznym uśmiechem wskazywała drzwi.

– Dzień dobry – bąknął Roman niepewnie po przekroczeniu progu. – Czy można?

– Witam pana – dziekan obojętnie skinął głową, wskazując przybyłemu krzesło obok swego biurka. – Słucham.

– Bardzo przepraszam, że zabieram czas – Wilewski nerwowo przygryzł wargi – ale sprawa, z którą przychodzę, jest dla mnie ogromnie ważna.

– Studenci zawsze przychodzą do mnie z „ogromnie ważnymi” sprawami – cierpko zauważył dziekan. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego pod koniec każdego semestru mam tych samych gości...

– Właśnie tak się jakoś nieszczęśliwie złożyło – Roman udał, że nie zrozumiał uszczypliwej uwagi – ale w tym semestrze...

– Czy ma pan przy sobie indeks? – przerwał mu dziekan. – Wydaje mi się, że od tego powinniśmy zacząć.

– Oczywiście – Wilewski skwapliwie wyciągnął indeks z kieszeni i położył go na biurku. – W ostatnim semestrze miałem poważne kłopoty – przybrał zboląłą minę – sporo chorowałem, a co gorsza sprawy osobiste tak mi się ułożyły...

– Że miał pan kłopoty, to się, niestety, rzuca w oczy – zgodził się dziekan przeglądając indeks. – Pozytywnych ocen prawie nie widać.

– Ja zaraz wszystko wyjaśnię – nerwowo zapewnił Roman. – To jest trochę skomplikowane...

– Czyżby? – dziekan najwyraźniej nie zdradzał ochoty do wysłuchiwania opowieści studenta. – Nie uczy się pan i tyle – z politowaniem pokiwał głową.

– Panie dziekanie! – Wilewskiemu nagle zrobiło się gorąco, – Ja bardzo proszę, niech mi pan da jeszcze jedną szansę! Obiecuję, że usunę wszystkie zaległości – uderzył się w piersi. – W przyszłym semestrze będę zaliczał na czwórki!

– O ile się nie mylę, to podobne zapewnienia o przyłożeniu się do nauki słyszałem od pana już pół roku temu – skrzywił się niechętnie dziekan. – Zresztą od samego początku są z panem kłopoty. Tygodniami nie pokazuje się pan na uczelni, skarżą się na pana asystenci... Prawdę mówiąc nie wiem, dlaczego nie wyrzuciłem pana zaraz na pierwszym roku.

– To się już nie powtórzy! – gorliwie próbował przekonywać Roman. – Obiecuję, że nie będzie ze mną w przyszłości żadnych kłopotów.

– Swoją drogą powinien pan się wstydzić – zmarszczył brwi dziekan. – Ma pan bardzo mądrego i pracowitego ojca, a zupełnie nie bierze pan z niego przykładu. Szkoda, wielka szkoda...

– Bardzo proszę...

– O zaliczeniach w późniejszym terminie i sesji poprawkowej niech pan nawet nie marzy – zachnął się dziekan. – Jedyne, co mogę dla pana zrobić, to zezwolić na repetowanie czwartego semestru. Właściwie nie powinienem, ale...

– Strasznie dziękuję! – Wilewski nie taił swojej radości. – Zaraz po wakacjach wezmę się z kopyta do roboty – zapewnił.

– Mam nadzieję – rzucił dziekan zmęczonym głosem. – I proszę sobie zapamiętać, że ostatni raz potraktowałem pana ulgowo. Kraj nie potrzebuje niedouczonej specjalistów!

– Oczywiście, panie dziekanie...

– To wszystko, jest pan wolny. Myślę, że nie spotkamy się więcej w takich okolicznościach.

– Na pewno nie, panie dziekanie! Do widzenia.

Na korytarzu Roman Wilewski odetchnął głęboko. Poszło znacznie łatwiej, niż się tego spodziewał. Teraz otwierała się przed nim miła perspektywa wakacji, a następnie niezbyt pracowitego roku. Nad książkami trzeba będzie zasiąść dopiero za kilka miesięcy. Do następnej sesji egzaminacyjnej miał jeszcze dużo czasu...

– No, jak? – zaczęła go znajoma dziewczyna. – Stary w dobrym humorze?

– Dał repetę i nawet wiele nie gadał – mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Co ty? – z podziwem pokręciła głową. – Musiałeś mu zdrowo nałgać...

– Łagodny dzisiaj jak baranek – roześmiał się lekceważąco. – Dziecko dookoła palca go okręci.

– To może iść teraz do niego? – zastanowiła się. – Chyba się zgodzi przełożyć termin na wrzesień?

– Pestka! – zapewnił ją Roman. – Wal zaraz, bo później jeszcze mu co odbije...

– No, to trzymaj za mnie! – ruszyła w kierunku drzwi dziekanatu.

– Złam kark! Daj znać, jak załatwiłaś – dodał bez przekonania – może gdzieś wyskoczmy...

Na Krakowskim Przedmieściu był ruch jak zwykle o tej porze. Wilewski szedł wolno chodnikiem, oglądając wystawy. Zastanawiał się, co ma dalej robić. Zapowiadało się na niezły upał, ale perspektywa samotnego wyjazdu za miasto specjalnie go nie nęciła. Chciał już wracać do domu, kiedy nagle poczuł mocne klepięcie w plecy.

– Sie masz, stary! – roześmiał mu się w twarz niski i dość szczupły blondyn. – Nareszcie cię znalazłem, byku!

– Czołem, Wojtuś! – ucieszył się Roman. – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Gospośia nadała, że pojechałeś na uniwersytet – wyjaśnił tamten krótko.

– A ty za mną?

– Jak w dym. Zrobimy po piwku?

– Czemu nie – zawahał się Wilewski. – Ale gdzie o tej porze?

– Nie bój biedy – uspokoił go Wojtek – znam takie miejsce.

– No, to chodźmy.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszyli w kierunku placu Zamkowego. Nagle Wilewski trącił przyjaciela łokciem.

– Co ty dzisiaj nie w robocie? – zapytał ze zdziwieniem w głosie.

– E, nie warto o tym gadać – wzruszył ramionami Głowaczewski. – Rzuciłem w diabły budę. Zarabia człowiek na pieprz do soli, a jeszcze majster się czepia, że niby gorzałą ode mnie jedzie. Wypiłem jedno piwko i zaraz taki krzyk.

– I co dalej?

– Później poszukam sobie lepszej fuchy, teraz, bracie, wakacje!

– Niby racja – zgodził się Roman – trzeba trochę odsapnąć.

– A co u ciebie? – zainteresował się Wojtek.

– Dostałem repetę – parsknął śmiechem Wilewski.

– Nie gadaj – Głowaczewski domyślnie przymrużył oczy. – Stary załatwił?
 – Sam załatwiłem – zachnął się Roman. – Stary powiedział, że go to nic nie obchodzi.
 A wczoraj pieklił się z matką – dodał niechętnie.
 – Moi też się piekli – zauważył obojętnie Głowaczewski. – A twoim o co poszło?
 – Jak to o co?! – Wilewski pogardliwie wzruszył ramionami. – Podobno mam
 nieodpowiednie towarzystwo i dziura w niebie się zrobiła, że zawałem rok.
 – To forsy też nie będzie stary chciał ci dawać – Wojtek pokiwał głową z wyraźnym
 współczuciem. – Kiepsko...
 – Nie da stary, to da matka – Roman patrzył na tę sprawę bardziej optymistycznie niż
 przyjaciel – na jedno wychodzi. A co u Jacka? – zmienił temat.
 – Powiedziałem mu, że jest głupim chamem – zasępił się Głowaczewski. – Gorzej, że
 znowu zaczyna mi stękać do Anki... Dzisiaj rano chciał już do niej lecieć z przeprosinami.
 – Nie ma żadnych szans – machnął ręką Wilewski. – Zresztą sam sobie winien.
 Mówiłem baranowi, że z nią trzeba kulturalnie. A on myślał, że jej zaimponuje twardą łapą i
 drobnym handelkiem...
 – Gadaj zdrow – mruknął ponuro Wojtek – a tymczasem brat mi sfiksuje.
 – Trzeba mu podstawić inną – zaproponował Roman. – Prześpi się z jakąś lalą parę
 razy, to zapomni o Ance.
 – Pogadałbyś z którą...
 – A może jeszcze Jacusiowi dziewczynę do łóżka włożyć? – roześmiał się Wilewski. –
 Jeśli chodzi o mnie, to wolę sam sprawę załatwić do końca.
 – Będiesz miał okazję dzisiaj się popisać – Wojtek zmienił ton, stukając znacząco
 ramieniem przyjaciela.
 – Co? – Roman natychmiast się zainteresował. – Gdzie?
 – Nasi starzy wyjechali i jest wolna chata – tryumfalnie obwieścił nowinę
 Głowaczewski.
 – To można zrobić ubaw – Wilewskiemu błysnęły radośnie oczy.
 – A zorganizujesz jakieś dziewczyny do robienia kanapek?
 – Czemu nie?
 – To startujemy o siódmej.

II

– Znaczy, Jędrus, kłapa?
 – Kłapa? Chciałeś, Jasiu, powiedzieć: kompromitacja! – Niewysoki, dobrze zbudowany
 szatyn w wieku poniżej trzydziestu lat z wyraźną złością stukał łyżeczką do herbaty w blat
 stolika w bufecie sądowym. – Bodajby dziwkę szlag...
 – Biedne dziewczę zrobiło w konia szanownego pana prokuratora i teraz na jej głowę
 lecą gromy – nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi siedzący obok wysoki, szczupły
 blondyn.
 – Ciebie też zapędziła w kozi róg, więc się nie mądrzyj, przekłety glino! – odciął się
 tamten.
 – Ale całe piwko wypiełeś ty...
 Podprokurator rejonowy Andrzej Mikulski i porucznik KSMO Jan Stefański byli
 kolegami jeszcze ze studiów na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Mając już
 dyplomy magistrów, pierwszy rozpoczął aplikację w prokuraturze, a drugi wybrał szkołę
 oficerską w Szczytnie. Po paru latach los zetknął ich znowu, jako specjalistów od zwalczania
 przestępczości kryminalnej. Tak się jakoś składało, że bardzo często wspólnie prowadzili

różne sprawy. Wyniki współpracy były zwykle dobre. Zdarzały się jednak również i niepowodzenia...

– Taki blamaż, taki wstyd – prokurator Mikulski aż trząśniętym głosem powiedział. – Cztery uniewinnienia z aresztu... Cała sala rechotała ze mnie.

– Staralem się nic nie uronić z tego widowiska i chyba mi się to udało... Mimo że siedziałem w ostatnim rzędzie – Stefański najwyraźniej nie przejmował się tak bardzo jak przyjaciel niepomyślnym epilogiem sprawy.

– Obserwator się znalazł! Siedziałeś z tyłu i nie musiałeś tak jak ja świecić oczami – odciął się Mikulski. – To miała być pokazówka. Narobili tyle szumu koło tej sprawy, że ludzie walili drzwiami i oknami do sali sądowej. Szefowie zapewniali, że wszyscy oskarżeni dostaną po piętnaście lat...

– Wielka sprawa prokuratora Mikulskiego...

– Kpij sobie, kpij! Teraz nie zostawię na mnie suchej nitki. Jutro poczytamy w prasie, jak to za frajer trzymałem czworo ludzi w areszcie – stęknął z rezygnacją.

– Tylko się nie rozklej – Stefański klepnął Mikulskiego po ramieniu. – Jakkolwiek by na to spojrzeć, nawaliłeś, a kto nawala, musi dostać po karku. Mnie tego też szybko nie zapomną. Do wczoraj miałem nagrodę w kieszeni, teraz zobaczę ją jak własne ucho bez lusterka.

– Przeklęty materialista! Zarabia dwa razy tyle co ja i jeszcze płacze, że mu nagroda uciekła sprzed nosa!

– Myślałby kto, że mam takie kokosy... A zresztą to właśnie przez ten twój zakichany idealizm wyszła kłapa. obrońca uciśnionych się znalazł!

– Ja?

– Nie, ksiądz proboszcz...

– O co ci chodzi? – Mikulski popatrzył zdziwiony na przyjaciela.

– Mówiłem szanownemu prokuratorowi, że dziewczynę trzeba przytrzymać ze dwanaście godzin i przemaglować parę razy we wszystkie strony.

– Zaraz po zajściu? Za taki numer z pokrzywdzoną zrobiliby mi dyscyplinarkę...

– Po tygodniu lub dwóch mogłeś powiedzieć, że sprawa się gmatwa i trzeba wyjaśnić nowe okoliczności. Kto jak kto, ale ty potrafisz znaleźć dziurę w każdej sprawie – mrugnął do Mikulskiego. – Nikt by się nie zdziwił, że wezwaliśmy panienkę na uzupełniające przesłuchanie. Oczywiście nie do ciebie, do firmy, tylko do mnie... W komendzie takie jak ona szybko tracą rezon, zwłaszcza jak się je trochę przyciśnie...

– Ale...

– Porozmawialibyśmy z nią na zmianę – nie dawał sobie przerwać Stefański – nagralibyśmy te rozmówki na taśmę i zobaczyli, czy dziewczę nie mota się przypadkiem w szczegółach.

– Zrozum, człowieku – wybuchnął Mikulski – dziewczyna przyleciała do mnie z rykiem i powiedziała, że czterech bydlaków gwałciło ją przez całą noc!

– A ty masz miękkie serce i się wzruszyłeś...

– Uwierzyłem dziewczynie i było mi jej żal... W końcu trzeba być człowiekiem.

– Jesteś prokuratorem, a nie siostrą miłosierdzia – zapienił się Stefański. – Na litość i zaufanie do człowieka nie ma miejsca w naszym fachu. Przychodzi do ciebie siksa, opowiada ci zgrabną bajeczkę, trochę popłacze, a ty zaraz myślisz, że to męczennica, i trzask prask ładujesz facetów do kryminału.

– W kwietniu to wszystko zupełnie inaczej wyglądało. Ci czterej nie mieli alibi, ale za to jak na swój wiek bardzo bogatą przeszłość kryminalną. Urodzone w niedzielę niebieskie ptaszki... Ty sam podtykałeś mi pod nos wykazy ich grzeszków.

– Przecież się nie wykręcam. Dla mnie sprawa była czysta i wcale nie myślałem, że dziewczyna łże. Ale przemaglować trzeba ją było.

– Teraz to i ja jestem taki mądry.

– Nie złość się stary – Stefański zmienił ton. – Obu nas zrobiła w konia i nic na to nie poradzisz.

– Kiedy stanęła jak ten słup soli przed sądem i nic nie chciała powiedzieć, zbaraniałem.

– Prawdę mówiąc, ja też...

– Pomyślałem, że się krępuje ludzi, i złożyłem wniosek o wyłączenie jawności rozprawy...

– Wiem, wiem. Sędzia wyrzucił publiczność z sali, w tym również i mnie.

– Straciłeś to, co było najciekawsze.

– No?

– Jak tylko woźny zamknął drzwi, oświadczyła, że odwołuje wszystkie, swoje zeznania.

– A ty co na to?

– Z wrażenia całkiem zapomniałem języka w gębie. Poza jej zeznaniami nie miałem właściwie żadnych innych dowodów.

– Nie zapytałeś dziewczyny skąd ta zmiana?

– Sędzia zapytał.

– No i co?

– Usłyszeliśmy wzruszającą historię o tym, jak się zakochała w jednym z oskarżonych i chciała z nim chodzić, a on wysłał ją do wszystkich diabłów. Ponoć zerwał z nią, kiedy mu zakomunikowała, że został szczęśliwym ojcem... Bała się kompromitacji, chciała się zemścić, więc poszła do prokuratury.

– A pozostali trzej?

– Znała ich z widzenia i wiedziała, że są kumplami, razem piją wódę... Ktoś jej kiedyś powiedział, że biorą sobie czasem na noc jedną lub dwie dziewczyny do wspólnej zabawy...

– Co ty?

– Jak nie wierzysz, możesz przeczytać protokół rozprawy.

– Prosiłeś sąd, by w związku z fałszywym oskarżeniem przymknął ją na sali i przekazał do dyspozycji prokuratury?

– Wiesz, jak to u nas jest – Mikulski wzruszył ramionami. – Poprosiłem o przerwę w rozprawie i zadzwoniłem z sekretariatu do szefa...

– A szef?

– Najpierw się ciskał, że będzie blamaż, a potem rąbnął parę frazesów o praworządności, powadze urzędu i spokoju...

– Rozumiem, że dziwka poszła sobie do domu i ma nas wszystkich gdzieś – parsknął ze złością Stefański.

– Owszem. Jest w ciąży, więc głowę daję, że sprawa jej szybko przyschnie.

– A nas będą się czepiać, że spaskudziliśmy śledztwo...

– Co poradzisz...

Zamilkli na chwilę. Prokurator Mikulski dalej nawet nie starał się ukryć swego rozdrażnienia. Był wściekły na siebie, na współpracujących z nim funkcjonariuszy MO, a przede wszystkim na dziewczynę, której udało się wyprowadzić go w pole. Co więcej, zdawał sobie doskonale sprawę, że szefowie nie pozwolą mu wyładować swej furii na niesławnej bohaterce procesu.

Porucznik Stefański był spokojniejszy od przyjaciela. Drażniło go, że praca przy ostatniej sprawie nie dała spodziewanego rezultatu, ale lata służby w MO nauczyły oficera, że niestety czasami tak bywa. W głębi duszy odczuwał zresztą coś, co w pewnym stopniu łagodziło gorzkość porażki. Oto znalazł jeszcze jedno potwierdzenie słuszności swojej zasady: nigdy nikomu nie wierzyć. Bezsporną wartość miały dla Stefańskiego tylko dowody rzeczowe – nigdy ludzkie słowa. Uznał, że nadarzyła się doskonała okazja, by spróbować przekonać o tym Mikulskiego.

– Mamy nauczkę na przyszłość – zaczął wolno. – Ludzie, którzy do nas przychodzą, rzadko kiedy mówią prawdę. Dopóki nie ma dowodów, że nie kłamią, nie można im wierzyć. Łzy i smutna buzia to często jedynie gra...

– Też mi rewelację wymyślił – zachnął się prokurator.

– Nie złość się, stary, ale czasem o tym zapominasz.

– Wszystko to bardzo piękne, co mam jednak zrobić, kiedy dwóch delikwentów prezentuje zupełnie odmienne wersje, a brak jakichkolwiek dowodów, by je zweryfikować? Wtedy pozostaje mi tylko intuicja.

– Ja w takim wypadku zakładam, że obaj kłamią, i tak długo obu magluję, aż się któryś załamie.

– Nie gadaj...

– W ciągu godziny czy dwóch towarzyskiej rozmowy nie wyciągniesz z niego prawdy. Nie wierzę w intuicję. Gdybyśmy porządnie przycisnęli dziewczynę, nie siedziałbyś teraz taki wkurzony na cały świat...

– Nie mogę przecież traktować świadka, a zwłaszcza pokrzywdzonego, tak jak bandziora, którego ładuję do więzienia.

– Nikt ci tego nie każe, ale do diabła przestań się tak wzruszać, gdy ktoś przyłazi do ciebie i skarży się na swoją dolę!

– Może i racja – Mikulski nie miał ochoty na dalszą dyskusję.

– Masz coś w planie na dzisiejszy wieczór? – Stefański uznał, że lepiej zmienić temat.

– Prawdę mówiąc, nic... W niedzielę idę z Bożeną do teatru, a dzisiaj chciałem odpocząć...

– Warto by się trochę rozerwać.

– Nie mam ochoty nigdzie łązić.

– A może tak zorganizujemy małego brydzyka?

– Czy ja wiem...

– Nie marudź. Wpadnij do mnie, zagramy parę roberków.

– Jestem zmęczony...

– Dobrze ci zrobi, jak zapomnisz na jakiś czas o tej sprawie.

– No, niech ci będzie.

– Zadzwoń po Bożenę, a ja już skombinuję czwartego.

– Zgoda.

– Znaczący o siódmej?

– Ale u mnie. Ostatnio w domu bywam gościem.

– Mieszkasz sam, więc co ma cię tam ciągnąć?

– Ale wypada trochę pomieszkać.

– Też racja.

– Więc jak?

– Umowa stoi. U ciebie o siódmej.

– Tylko punktualnie, Bożena nie cierpi spóźnialskich.

– Oczywiście, możesz na mnie polegać. Prokurator Mikulski zdecydowanym ruchem podniósł się z krzesła.

– Chodźmy – rzucił do Stefańskiego. – Nie ma co siedzieć cały dzień w sądzie.

– Racja. Wracasz do prokuratury?

– Na półtorej godziny nie opłaca się. Zresztą dzisiaj nad niczym nie mógłbym się skupić.

III

Roman Wilewski czuł się coraz gorzej. Pity w nadmiernych ilościach alkohol nie tylko nie poprawił mu humoru, ale wprawiał go w coraz większe jeszcze rozdrażnienie. Skoczne dźwięki, płynące z nastawionego na cały regulator magnetofonu, zamiast zachęcać do tańca, przyprawiały go o przejmujący ból głowy. Odnosił wrażenie, że pokój kołysze się, na razie lekko, jak pokład statku na spokojnej fali, ale i to wystarczało, by czuł, że zawartość żołądka co chwila podchodzi mu do gardła.

Otarł chusteczką pot z czoła. Było mu niesamowicie duszno. Przez ostatnie dni czerwca w całym kraju panowała piękna, upalna pogoda. Dla wczasowiczów raj, ale w Warszawie przez całą dobę człowiek czuł się niczym w piekle. Teraz, mimo że do północy brakowało niespełna półtorej godziny, nie zanosilo się na to, by z otwartego okna powiało choć trochę chłodem. A do tego ten przeklęty pech. Kilka dni temu Roman pokłócił się z jedną dziewczyną, przed chwilą z drugą i zupełnie nieoczekiwanie został bez partnerki. Klął w duchu Jolkę. Wprawdzie żałował, że publicznie nazwał ją starą bigotką z Armii Zbawienia, ale przecież to ona sama sprowokowała go do tego niecodziennym dla siebie, świętoszkowatym zachowaniem, nie pozwalając mu dzisiaj nawet się dotknąć. Faktycznie, siłą wsunął jej rękę pod spódnicę, ale zrobił to przez przekorę i wcale się nie spodziewał takiej reakcji. Doszło do ostrej wymiany zdań i teraz siedział sam w kącie, podczas gdy Jolka bawiła się w najlepsze z jednym z jego kolegów. Nie należy rzecz oczywista do przyjemności, gdy na prywatce można tylko patrzeć, jak inni się całują i ściskają w tańcu, czy też „dla odpoczynku” robią to samo na tapczanie.

Sytuacja wydawała się Wilewskiemu beznadziejna. Nie widział perspektywy pogodzenia się, a inne znajome miały już chłopaków na ten wieczór. Prawdę mówiąc, nie miał jakoś ochoty na opowiadanie wyszukanych historyjek i sypanie komplementami mającymi skłonić którąś dziewczynę do pójścia z nim do łóżka. Wydawało się więc, że nie pozostaje mu nic innego, jak spędzić resztę prywatki w kuchni, na pijackiej dyskusji. Gorzej, że picie szło mu opornie, co zwiastowało rychłe kłopoty żołądkowe.

Niedaleko Romana, przy oknie, stali Wojtek Głowaczewski i jego daleki kuzyn, Sławek Wrocki. Rozprawiali o czymś zawzięcie, raz po raz popijając z butelek piwo. Wśród panującego w pokoju hałasu do Wilewskiego docierały jedynie strzępki zdań, tak że nie mógł się zdecydować, czy warto podejść do rozmawiających kolegów. W pewnej chwili magnetofon przestał grać i Roman zorientował się, o czym mówią.

– Ustaw go, żeby jechał ze mną – natarczywie prosił Wojtek. – Kiego grzyba będzie gnił w Warszawie?

– Jak ty braciakowi nie przetłumaczyłeś, to co ja poradzę...

– Najpierw nie chciałem go brać ze względu na Goškę, a teraz on się miga.

– To przez tę miotłę?

– Zawróciła mu w głowie...

– Co on się na nią tak napalił?

– Nie dała mu...

– A taki był z niego kozak.

– Pogadasz z Jackiem?

– W końcu nic mnie to nie kosztuje...

– Masz u mnie połówkę.

– To już dwie. Pierwsza za...

Magnetofon znów zaczął grać i Wilewski nie dosłyszał, za jaką to przysługę Wojtek obiecał Sławkowi wódkę. Prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło. Nagle wszystko wydało mu się nudne i głupie. Poczul wyraźną niechęć do bawiących się, alkoholu i całego tego zadymionego mieszkania. Nie zastanawiał się już dłużej. Wstał z krzesła i chwiejnym krokiem, potykając się raz po raz, ruszył ku wyjściu.

W przedpokoju natknął się na Jacka Głowaczewskiego, który usiłował przekonać o czymś niewysoką, szczupłą brunetkę.

– Osiem paczek to darmo! – perorował, wymachując jakimś zagranicznym ciuchem. – Nigdzie taniej nie dostaniesz.

– W komisie na Brackiej widziałam za sześć i pół – dziewczyna nie chciała ustąpić.

– Nie zalewaj!

– Jak mamę kocham...

– Pewno jakiś szajs – pogardliwie wrzucił ramionami. – Popatrz no dobrze – podsunął jej pod nos kolorową szmatkę – ja ci bubla nie wtykam. Sam dałem osiem zielonych, a wiesz, jak teraz stoją. Tylko dla ciebie tak tanio. Inna musiałaby dołożyć jeszcze ze cztery paczki.

Wilewski chciał ich wyminąć, ale w drzwiach zatrzymał go Jacek.

– Co, już uciekasz? – był wyraźnie zdziwiony. – Młoda godzina. Lepiej chodź ze mną, pokażę ci coś...

– Zaraz wracam – skłamał Roman. – Okropnie tu duszno, muszę się trochę przejść.

Wyszedł na klatkę schodową. Wydała mu się jakaś dziwna. Wszystko dokoła kołysało się znacznie gwałtowniej niż przed chwilą w pokoju i było trochę jakby zamazane. Wilewski poczuł, że traci równowagę, ale zdołał przytrzymać się poręczy. Odczekał dłuższą chwilę, aż schody przestały uciekać mu spod nóg, i ruszył w dół.

Nieoczekiwanie dla siebie samego znalazł się przed drzwiami do piwnicy. Były otwarte. Zupełnie bezmyślnie zszedł niżej – panował tu okropny, stęchły zaduch. Zrobił jeszcze kilka kroków i nagle potknął się o coś.

Od upadku uchroniła go biegnąca wzdłuż ściany rura, której się odruchowo przytrzymał. Żołądek jednak nie wytrzymał wstrząsu. Piwo, wódka, kanapki, wszystko wytrysnęło z Romana z taką siłą, że z oczu pociekły mu łzy. Nic nie widział, nie mógł złapać powietrza, całkowicie stracił orientację, co się z nim dzieje.

Wilewski nie zdawał sobie sprawy, ile czasu mogło trwać to piekło. Wydawało mu się w każdym razie, że bardzo długo. Wreszcie poczuł, że powoli dochodzi do siebie. Zakrztusił się jeszcze kilka razy, ale był to już koniec. Starannie wytarł chusteczką twarz, splunął i wygramolił się z piwnicy.

Na ulicy zrobiło mu się znacznie lepiej. Bolała go wprawdzie głowa, ale mógł przecież odetchnąć świeżym powietrzem, co po zadymionym mieszkaniu i śmierdzącej piwnicy wydawało mu się luksusem. Przede wszystkim zaś nic nie ciążyło mu w żołądku.

Wolno ruszył przed siebie. Nie zastanawiał się, dokąd idzie, chciał się po prostu trochę przejść przed powrotem do domu. Pomysł okazał się dobry. Z każdym krokiem Wilewski szedł coraz pewniej. Czuł, że wraca mu dobry humor i pewność siebie.

W pewnej chwili spostrzegł ławkę. Zorientował się, że jest w parku „Kaskada”, a więc w pobliżu ulicy Potockiej, przy której odbywa się prywatka. Nie namyślając się dłużej, usiadł. Nie czuł wprawdzie większego zmęczenia, ale postanowił trochę odpocząć...

Spał bardzo krótko, bo kiedy się obudził, zegar na Hali Marymonckiej wydzwaniał właśnie godzinę jedenastą. Zastanawiał się, czy nie ruszyć w dalszą drogę do domu, gdy zamajaczyły przed nim dwie postacie.

– Te frajer, kopsnij szluga! No co gałami łypiesz? – Z brzmienia głosów można było wywnioskować, że tamci są zdrowo podpici. – Mamy cię mojką przeciągnąć?

Wilewski poczuł się bojowo. Był silny, wysportowany, wiedział, jak bronić się przed nożem, i nie takim już dawał radę. Na wszelki wypadek podniósł się z ławki, by mieć swobodę ruchów.

– Przyłożę po ryjach, to was rodzona matka nie pozna! – rzucił ostro. – Zjeżdżać!

Tamci – o dziwo – nie śpieszyli się do bójki. Pod adresem Romana rzucili kilkanaście przekleństw, ale do ataku nie ruszali.

– Ktoś ty? – padło w pewnej chwili pytanie.

– Niech ludzie ocenią...

Wilewski wiedział, co należy odpowiedzieć w takiej sytuacji. Nie bał się wprowadzić wiszącej w powietrzu awantury, ale jednak...

Zastanawiał się właśnie, jak potoczą się dalej wypadki, kiedy ten, który pytał, przysunął się bliżej. Błysnęła zapałka i nagle w głosie tamtego zadźwięczała przyjazna nuta:

– O kurwa! Przecież to Borowa! Kropa nie poznajesz? Byliśmy razem na stopie!

Kropa wyglądał na jakieś dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia trzy lata, a więc na rówieśnika. Ten drugi musiał być trochę młodszy. Roman nie przypominał sobie żadnego, ale uznał, że nie byłoby wskazane do tego się przyznawać.

– Kopę lat – rzucił obojętnie. – Nie widziałem cię od tej pory ani w „Żaku”, ani w „Rudawce”.

– W „Rudawce” mam krzywo – wyjaśnił rzeczowo Kropa. – Zaprawiłem tam jednego frajera... To jest Mały – wskazał kompana, wyraźnie nie chcąc kontynuować poprzedniego tematu.

Wszyscy trzej rozsiedli się wygodnie na ławce. Kropa, nie tając swego entuzjazmu, zaczął przypominać Wilewskiemu rzekomo wspólne pijaństwa i rozróbki. Roman ostrożnie skwitował opowiadanie kilkoma przekleństwami i bez oporu się zgodził, że rzadko kiedy równie wesoło spędzał czas. Teraz był już całkowicie pewny, że wzięto go za zupełnie kogoś innego. Trochę go to nawet rozbawiło i postanowił nie wypadać z roli. Na poczekaniu wymyślił historię o tym, jak za pobicie kontrolera MZK został skazany przez sąd na rok więzienia z zawieszeniem.

Uwierzyli. Co więcej, opowiadanie wzbudziło w słuchaczach wyraźne zainteresowanie i Roman wyczuł, że nabrali do niego większego szacunku. Wyrok sądowy to było coś, czym właśnie należało zaimponować chłopakom, którzy szczylicili się skazującymi orzeczeniami kolegów do spraw wykroczeń.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI